

22 lipca 1944 r. hitlerowcy dokonali bestialskiego mordu na więźniach trzymany w lubelskim Zamku. Jednym z pierwszych, którzy tam się zjawili był inż. RYSZARD STĘPNIAK, emerytowany dyr. Biura Projektów Budownictwa Wiejskiego w Lublinie, który przekazał nam wspomnienie, drukowane poniżej.

„W ostatnich lipcowych dniach okupacji obserwowaliśmy wzmożony ruch pod Zamkiem. Śledziliśmy pilnie ewakuowanie się Niemców.

Ludzie mówili, że Niemcy opuścili Zamek, ale go zaminowali. Pod bramą z otwartą furtką odnalazłem w tłumie trzech kolegów, sportowców starszych ode mnie: Tadeusza Orłowskiego, znanego przed wojną boksera wagi lekkiej, Stanisława Szendaka i drugiego Tadeusza, którego nazwiska już nie pamiętam.

Jako nieliczni mężczyźni szybko zdecydowaliśmy się wejść za ogrodzenie, aby sprawdzić co się na Zamku dzieje. Każdy z nas kogoś szukał z rodziny lub ze znajomych.

Weszliśmy „z duszą na ramieniu” za furtkę, którą zaraz zamknąłem na wewnętrzny hak.

kazując wiadomości, że są jeszcze żywi. Wzywam mężczyzn do pomocy i tu rozchodzimy się z pierwszymi kolegami. Znajduje się Sławek Litwiński (obecnie sędzia Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich), przyjaciel z lat młodzieńczych. Prowadzi harcerzy z Szarych Szeregów. Pod bramą zostaje inżynier budowlany Piotr Denisow, organizując innych mężczyzn. My, ze Sławkiem, rozdzielamy harcerzy i siostry zakonne. W pierwszej kolejności — szpital, skąd wynosimy panią Gdulę i przekazujemy harcerzom, aby zanieśli ją do szpitala. Siostry zakonne zajmują się pozostałymi chorymi.

Z siostrą szarytką i harcerzami idziemy do celi śmierci, do rannego Żyda, którego przy nas zaczynają opatrywać. Potem drzwi po prawej stronie — martwiejemy na widok stosu zwłok ociekających krwią, parującą w słońcu.

Jest to olbrzymia sala, zaraz za drzwiami odgródzona ladą. Przewyciężając własną słabość — badamy rozmiar zbrodni. Między maszynami krawieckimi stojącymi w hali, na wysokość powyżej lady zalegają setki zwłok. Sami nie poradzimy, wysyłamy kolegów, by wezwali mężczyzn spod bramy, a sami organizujemy nosze z wyjętych drzwi (później znalazły się nosze prawdziwe) i zaczynamy wynosić ciała.

Pięć minut po zbrodni na Zamku

Zostawiwszy Tadeusza na posterunku w bramie, sprawdzamy wyjścia. Przeciwnie prowadzi na dziedziniec zabudowany obiektami gospodarczymi. W prawo — drzwi na parter, w lewo — na I piętro. Decydujemy się spenetrować parter. Szybko sprawdzamy czy nikogo tam nie ma. W jednym z pomieszczeń znajdujemy trumnę ze zwłokami esesmana. Później, po wejściu ludzi, okaże się, że to zca komendanta zmiany „Krowa”, którego w szpitalu zabił skalpelem zdeterminowany więzień — Władysław Jurga, w październiku 1971 odznaczony pośmiertnie krzyżem *Virtuti Militari*.

W pokoju obok (chyba komendanta) natrafiamy zaskoczeni na mężczyznę w płaszczu, spod którego widać było polski mundur; oświadczył, że jest więźniem i szuka swojego dowodu. Widząc mundur, prosimy go, aby objął nad nami dowództwo. Nie pozwala do siebie podejść. Wycofujemy się do bramy, zamykamy drzwi. Sprawdzamy, że na zewnątrz tłum nadal stoi i szybko udajemy się na I piętro do szpitala.

Tu, na łóżkach leży kilkunastu chorych. Większość zrywa się. Pochylamy się nad jedną chorą, która mówi, że jest żoną porucznika Gduli z AK i po badaniach nie może się ruszać; obiecujemy pomoc. Wychodząc słyszymy odgłosy z ubikacji szpitalnej, wewnątrz nikogo nie ma, ale obok jest wysoka ściana z prześwietem z góry. Koledzy podnoszą mnie, zaglądam i widzę kilka skulonych postaci. Mówię, że Niemców już nie ma i otrzymuję wyjaśnienie, iż jest to oddział kobiecy, do którego przedostało się ze szpitala kilku mężczyzn.

Wejście do oddziału prowadzi z klatki schodowej, po lewej stronie dziedzińca. Wybiegamy. Przy budynku kuchni natknęliśmy się na starszego strażnika z dużym kołem kluczy. Otaczamy go i przytrzymujemy. Broni nie ma. Nie chce nas prowadzić. Zmuszamy go do otwarcia drzwi na I oddział po prawej stronie dziedzińca koło baszty (cele śmierci) i drzwi do klatki schodowej na oddział kobiecy. Zaraz nam znika. My biegniemy przez korytarz, zaglądamy przez wizjery do cel. Tylko w jednej znajdujemy postrzelonego kilkakrotnie w pierś więźnia — Żyda, który prosi o pomoc. Układamy go wygodnie na szmatach i obiecujemy pomoc.

I piętro. Po drugiej stronie dziedzińca. W lewo — korytarz do oddziału kobiecego, ale natrafiamy na grube, zamknięte kraty. Zawracamy. Biegnę do bramy, otwieram furtkę i prze-

Wśród nich jest Żyd, który ma postrzał głowy, ale daje znaki życia. Wynosimy go na drzwiach — noszach.

Nie wiem, ile upłynęło czasu i skąd wzięliśmy tyle siły i wytrzymałości, aby wynosić okrwawione ciała. Znalazło się na szczęście więcej takich wytrzymałych, którzy nas zmienili. Mogliśmy teraz zająć się ogólną organizacją. Było to konieczne, bo na korytarzu rozkładaliśmy ciała i sprawdzaliśmy, czy ktoś jeszcze żyje. Poleciliśmy, aby wydano ciała przybyłym rodzinom i wynoszono je następnie na dziedziniec. Wstrząsająca była rozpacz bliskich.

Pomagając rodzinom poszukiwałem bez przerwy Jurka Lewińskiego. Nie znalazłem go. Szczególnie przeżyliśmy odnalezienie ciała innego kolegi — Zbyszka Siuchty, rozpacz jego matki i ojca.

Po wyniesieniu wszystkich ciał musieliśmy sprawdzić jeszcze basztę i pozostałe pomieszczenia. Liczyliśmy się przez cały czas z tym, że Zamek trzeba będzie opuścić możliwie jak najszybciej, bo jeszcze są w mieście hitlerowcy i może trzeba będzie z nimi walczyć. (Dlatego m.in. przenieśliśmy lekarstwa do Szpitala Jana Bożego).

Poszukując Jurka Lewińskiego lub wiadomości o nim, zainteresowałem się także archiwum więziennym, „kennkartami” i księgami depozytowymi, które zawierały personalia więźniów oraz adnotacje dotyczące ich dalszego losu: kiedy zmarli lub zostali przeniesieni do obozów koncentracyjnych itd. Materiały te harcerze przenieśli do mego mieszkania przy ulicy Kowalskiej.

inż. RYSZARD STĘPNIAK

PS. Relację inż. Stępnika spisałem przed dziesięcioma laty. Wtedy nie mogło ukazać się właściwe zakończenie, które brzmiało „Akta więźniów Zamku Lubelskiego zabrały później władze wojskowe NKWD. Razem z aktami zabrano mnie (Ryszarda Stępnika — przyp. red.) oraz mojego brata. Byliśmy bici, jako że NKWD sądziło, iż są to spisy żołnierzy AK, a my jesteśmy dowódcami. Po pewnym czasie sprawa się wyjaśniła. Nam udało się wyjść, ale akta powędrowały do Kijowa. Podobno są tam do dziś.